

# Miej wątpliwość

19 grudnia 2016

Kiedy z jednej strony czytam opętańcze wizje snute przez pisowski aparat polityczno-informacyjny, a z drugiej słyszę o „sprzedawaniu się za 500 złotych”, wplecionym w niemal równie barwną opowieść o stanie wojennym, po raz pierwszy w życiu zaczynam mieć najwięcej zaufania do ludzi, którzy werbalizują własne wątpliwości.



To, co dzieje się obecnie w ramach kolejnego kryzysu, tym razem nazywanego parlamentarnym, można by przedstawić jako ilustrację bajki o pastuszku i złym wilku, który tyle razy wznosił fałszywy alarm, że kiedy wreszcie wilki przyszły, nikt mu nie uwierzył. Tyle razy wołano, że mamy do czynienia z ostatecznym upadkiem państwa prawa i demokracji, że kiedy rzeczywiście dzieją się rzeczy groźne, standardowe hasła przestają działać. Żeby wywołać jakikolwiek efekt, trzeba pójść krok dalej, jeszcze bardziej podnieść temperaturę sporu. Na to strona rządząca, której głównym paliwem jest ambicja i resentyment, nie zamierza odpowiadać inaczej niż kontratakami, a język staje się po prostu kabaretowy (czego świetnym przykładem jest kuriozalny tekst o esbeckiej Antifie szturmującej Sejm na polecenie KOD). Niestety, w hasłach o stanie wojennym, bezprecedensowych policyjnych represjach (o

czym zaraz) i zagrożonej wolności mediów i słowa ginie nam to, co naprawdę powinniśmy zauważyć – mianowicie fakt, że władza uznała, że głosy posłów opozycyjnych się nie liczą, ich mandaty są mniej istotne, ponieważ są w mniejszości. To zaprzeczenie samej idei parlamentaryzmu, które powinno nas obchodzić niezależnie od tego, jak nikłe znajdujemy w sobie współczucie wobec posła Szczerby.

Wracając do początku, uporządkujmy sobie to, co zdarzyło się w piątek. Głosowano poważne ograniczenie obecności dziennikarzy w Sejmie, które osobiście uważam za głupie i niepotrzebne – nie trafia do mnie argument o „powadze instytucji”, którą naruszać ma zadawanie posłom pytań na korytarzu. Sposób relacjonowania wydarzeń z Sejmu często pozwalał opinii publicznej dowiedzieć się np. o braku kompetencji danego posła w sprawie, w której przed chwilą oddał głos. Faktem jest, że takie regulacje faktycznie występują w innych parlamentach europejskich, jednak nie we wszystkich pierwszeństwo mają media publiczne, zaś w żadnym – sposób funkcjonowania mediów publicznych nie został podważony przez Trybunał Konstytucyjny w wyroku nieopublikowanym przez premier Beatę Szydło. Jest więc jasne, że u podstaw konfliktu leżała obawa dziennikarzy komercyjnych stacji oraz polityków, którym sprzyjają, czyli przede wszystkim opozycji, że będą mieli znacznie ograniczoną swobodę działania i możliwość przekazu, gdy tymczasem ich rywale z pisowskiej telewizji publicznej i partii rządzącej będą mieć łatwiej. Prawdopodobnie nie jest to najbardziej honorowa sprawa, żeby za nią umierać; z pewnością też zmiany regulaminu – chociaż jak w wielu innych sytuacjach pokazujące pewne pełzające tendencje do marginalizowania jakichkolwiek głosów poza własnym z wykorzystaniem pozycji siły – nie licują z okrzykami o zamachu na wolne media. Jest to jednak kolejny krok do zawłaszczania państwa przez PiS, „porządkowania” go w taki sposób, żeby ich zawsze było na wierzchu.

Następnym krokiem było wykluczenie z obrad posła Platformy Obywatelskiej Michała Szczerby. Szczerba był nieuprzejmy wobec

marszałka i przyniósł ze sobą na trybunę kartkę z napisem „wolne media”, jednak na polecenie Kuchcińskiego natychmiast ją usunął. Nie zrobił niczego, co usprawiedliwiłoby usunięcie go z obrad. Czy okupacja sejmowej mównicy przez posłów opozycji była adekwatną odpowiedzią? Być może nie, być może tak – z pewnością jednak w żaden sposób ich zachowanie nie może być usprawiedliwieniem dla tego, co działo się później, czyli przeniesienia obrad do Sali Kolumnowej. Tu bowiem zaczęły się dziać rzeczy absolutnie niedopuszczalne. Fakt, że na obrady nie wpuszczono części posłów opozycji, że nie pozwolono im zgłaszać wniosków, że głosy liczono na kolanie, że lista obecności wypełniania była po głosowaniu – wszystko to sprawia, że, jakkolwiek nie obrzydłaby mi fraza o „obronie demokracji”, odczuwam poważny niepokój.

Zwłaszcza, że nie głosowano przecież byle czego, ale ustawę budżetową kraju, w którym mieszka 38 mln ludzi, podejmowano decyzję na temat funkcjonowania szkół, szpitali, stref ekonomicznych i inspekcji pracy, wszystkich wydatków i wpływów które osiągniemy jako państwo. Mam głębokie przekonanie, że jeśli dopuścimy do sytuacji, w której niektórym posłom uniemożliwia się pełnienie mandatu poprzez zastawianie im drogi krzesłami, to bardzo ciężko będzie z tej drogi zawrócić. Nie uważam, żeby model polskiego parlamentaryzmu pozwalał choćby na wyrażenie, nie mówiąc o realizacji interesów większości społeczeństwa; wielokrotnie go krytykowałam i wiem, że wymaga głębokich zmian, choćby w ordynacji wyborczej. Jednak to, co się dzieje teraz, nie jest nawet żadną przemyślaną reformą – mamy do czynienia z sytuacją, w której ego marszałka Kuchcińskiego, resentyment i upicie się władzą PiS prowadzą do znikania tych norm, tych podstawowych ram, które mieliśmy i do których jednak jestem przywiązana. Prawdopodobnie tym razem nie miało to znaczenia – nikt nie chciał niczego ugrać, po prostu kogoś poniosło. Ale jeśli robi się coś takiego raz, dlaczego nie można zrobić drugi? Jeśli raz zignoruje się zasady, czemu nie można ich nagiąć jeszcze raz, tym razem dla własnego interesu? Zwłaszcza, że żyjemy w

czasach, w których niełatwo jest być demokratą – cała Europa, ba, duża część świata przeżywa w tej kwestii poważny kryzys. Stąpamy po naprawdę cienkim lodzie, zbyt cienkim, żebyśmy mogli się czuć bezpiecznie.

I to tak naprawdę te zdarzenia – nie policja, rozpędzająca demonstrację pod Sejmem, bo rozpędzanych demonstracji zasadniczo więcej było za PO niż za PiS, są najbardziej przerażające i oburzające. Przemoc policyjna w Polsce, chociaż oczywiście zawsze obrzydliwa i upokarzająca dla jej ofiar, w porównaniu z tymi „zachodnimi standardami” do których tak namiętnie aspirujemy i tak jest na stosunkowo ludzkim poziomie. Z drugiej strony – pewnie dla ludzi, którzy spotkali się z nią pod Sejmem, był to pierwszy taki kontakt – kim jesteśmy i skąd mamy mandat, żeby oceniać to, że się przestraszyli? Czy naprawdę fakt, że na protestach górniczych bili mocniej, a z blokad eksmisji wynoszą regularnie, oznacza że PiS może sobie wynosić ludzi z pokojowego zgromadzenia, a my nie mrugniemy okiem?

Oczywiście, pozostaje pytanie „co dalej”. Możliwości sprzeciwu wobec takich zachowań nie ma wiele – pionki na szachownicy i podział na dwa kolory figurek, co których nikt nam nie wmówi, że czarne są czarne, a białe są białe, jest trwale ustalony. Zarówno według mediów pisowskich, jak i liberalnych, nie ma możliwości protestować przeciwko łamaniu standardów demokratycznych przez PiS i nie być jednocześnie częścią „zjednoczonej opozycji”, która z jednej strony reprezentuje zgniłe status quo, a z drugiej – robi co może, żeby eskalować konflikt. Bywa też histeryczna, czasem hiperbolizuje, regularnie obraża elektorat PiS i przy okazji wszystkich mniej zamożnych Polaków i Polki. Z drugiej strony – to nie oni są teraz najbardziej niebezpieczni, to nie oni przejmują kawałek po kawałku państwo i jego instytucje, robiąc z nich partyjny folwark, a ich wpływ na rzeczywistość jest w gruncie rzeczy dość ograniczony. Są w Polsce tysiące ludzi, którzy w tej sytuacji czują się zagrożeni, mają przekonanie – moim zdaniem

słuszne – że jakieś fundamenty państwa, do których przywykli, nawet jeśli nie są z nich zadowoleni, się chwieją. Czy można uznać, że wszyscy oni są złym „liberalnym mainstreamem” i że nie warto z nimi gadać, zwłaszcza jeśli nie mamy żadnych realnych, naukowych dowodów na potwierdzenie tej tezy? Jeśli celem lewicy w Polsce ma być przemodelowanie sceny tak, żeby była zasadniczo bardziej demokratyczna – w sensie wpływu na rzeczywistość wszystkich obywateli i obywaterek, a nie tylko tych najbardziej wpływowych i zamożnych – jak można ignorować tych, dla których pewien demokratyczny standard jest istotny? I ostatecznie w imię czego należałoby to robić? Czy naprawdę rzeczą najważniejszą jest dbać o własny komfort estetyczno-etyczny? Z drugiej strony, w którym miejscu zagłuszanie tego dyskomfortu staje się koniunkturalizmem i musi oznaczać stratę tożsamości, czyli de facto przejście na pozycje liberalne, które jak wiadomo nie dają żadnych odpowiedzi? Jeśli bowiem spełni się marzenie Kijowskiego i Petru – i będziemy mieć jednorodny obóz antyPiS, to on nie będzie mógł zmienić absolutnie niczego, to jest jasne. Z drugiej strony, jeśli nie wyrazi się dzisiaj sprzeciwu wobec działań rządu, to jest to jednoznaczny krok w kierunku akceptacji tego, co się dzieje, a co nie może zostać zaakceptowane – to zagranie do bramki PiS.

Nie można być dzisiaj demokratą i nie protestować przeciwko zamachowi PiS na państwo; nie można być dzisiaj socjalistą i ściskać się z śmietanką KOD-u. Nie można beczynnienie słuchać o gorszym sorcie i esbekach, nie można nie reagować, kiedy krzyczą, że kodowcy nie dadzą się kupić za 500 zł. Jednocześnie, nie można się dać zepchnąć do narożnika, w którym jest się wyłącznie kontra wobec wszystkiego i wszystkich. Lewica gra dzisiaj na nieswojej planszy, na której zasady nie są sprawiedliwe, inni gracze mają więcej figur, a ich pionki pokonują więcej pól w każdej turze. Linie podziałów ustawione są w miejscach kompletnie nieracjonalnych; w poprzek jakiegokolwiek realnego interesu czy konfliktu społecznego – po obu stronach mamy Piotrowiczów i Mazgułów; obie strony równie głośno krzyczą „precz z komuną”, w obu obozach na

ważnych stanowiskach mamy panów bankierów, wszyscy chodzą w równie drogich garniturach. W dodatku jeden z graczy ciągle grozi, że zaraz wywróci szachownicę do góry nogami – głównie po to, żeby wkurzyć tego drugiego, ale przy okazji nieźle nią trzęsie, przesuwając niektóre figury. Niestety, innej gry nie ma, a najbardziej nieodpowiedzialne byłoby nie grać wcale.

Autorstwo: Justyna Samolińska

Zdjęcie: [Platforma Obywatelska RP](#) (CC BY-SA 2.0)

Źródło: [Strajk.eu](#)